

Kakofonia zdziwiona

A to było tak:

Rok 1918 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi były zwiastunem klęsk jakowychś i zdarzeń nadzwyczajnych. Z wiosny wilki w niesłychanej ilości z lasów wylały i obesrały pola, niszcząc zasiewy i trawy, co jasnokrótkowidze z *Keiser Rat für Voraussicht der Nahen un Etwas Ferneren Zukunft* uznali za przepowiednię niepokoїв i radykalnych na Wschodzie zmian¹. Latem zdarzyło się wielkie odćmienie słońca, które rozblęstło z wielką mocą, przez co ludzie na chwilę zobaczyli wszystko wyraźnie (choć wyuczuleni na punkcie światła jasnovidze doznali krótkotrwałej ślepoty). W Warszawie ulice zalała woda mętna, cuchnąca. „Kurier Warszawski” donosił o rusatkach tańczących nad brzegiem Alei Jerozolimskich; o wodnikach chlapiących wodą nieopodal Poczty Głównej na placu Napoleona; a nawet o utopcach, co maczały nogi w kałuży i obrzucały przechodniów na Marszałkowskiej wywiskami tak wymyślnymi, że sam Marszałek poczuł się jak zakonnica. Wkrótce jednak okazało się, że powodem powodzi była wadliwa hydraulika, i szybko zapomniano o wodnych dziwach, a skupiono się na innych, naprawdę niewytłumaczalnych zjawiskach.

Przez cały ów dziwny rok rzeczywistość stroiła instrumenty: kontrafagoty ludzkich losów o barwie ciemnej i dramatycznej; melancholijne oboje tęsknoty za utraconą niewinnością; soczysty klarnet upuszczonej krwi; trąbki nieprzespanych nocy; tuby nadziei; rogi obaw; złowieszcze kotły dział; bębny karabinów maszynowych; talerze obietnic i zapewnień; drżący trójkąt Trójjprzymierza; rozgorączkowany trójkąt *entente cordiale*; dzwonki u czapki Stańczyka; gongi głupoty uderzane kaduceuszem; fortepian strzaskany o bruk ideału; baśniowe czelesty wymarłych utopii; mechaniczne harfy nowej poezji; monumentalne organy rządowe państw powstających, jak i popsute organki tych odchodzących do lamusa; i wreszcie sekcja smyczkowa, w której pobrmiewały skrzypce ołówków kreślących po mapie Europy; wiolonczela jutrzeńki i drżący kontrabas niepewnej przyszłości. Do tego wszystkiego chmara dyrygentów, co to chrząkają, błagają o ciszę i spoconymi dłońmi puszczają w ruch drżące kamertony.

Rzeczywistość stroiła się do niezwyklej kakofonii pełnej nowych muzyków i chórzystów o głosach, których do tej pory Europa nie słyszała. Rzeczywistość stroiła się w nuty dziwnych narodów, które rozbrzmiały nieznaną dotąd melodią. I wybuchły z wielką mocą

¹Kajzer machnął tylko ręką, boć żadna to nowina, że na Wschodzie zawierucha. Miał zresztą inne już sprawy na głowie, jak choćby szerząca się w szeregach armii epidemia komunizmu. Lekarze pracowali dniem i nocą nad szczepionką, ale zaraza nic sobie z tego nie robiła. Ba, na ulice wylegli w workach od kartofli pośpenicy, którzy dęli w szalotamaje i, bicząc przechodniów, obwieszczali koniec świata. Klasowego, oczywiście. W takiej sytuacji kajzer miał większe zmartwienia niż wiecznie rozogniony Wschód. Nie przypuszczał, że ze Wschodu właśnie nadciągała prawdziwa plaga w znoszonych onucach i komsomołkach.

arkany, hopaki, kozaki, trepaki, furianty, polki, lawonichy, hajduki, odzemki, oberki, kołomajki, krakowiaki, kujawiaki, olendry, polonezy i mazurki. Cała Rzeczypospolita mazurkiem powstała. Na trzy czwarte, na pół gwizdka, bo nie wiadano, gdzie kres na wschodzie, a gdzie na zachodzie; nie było ani początku, ani końca. Tylko melodia z synkopą na nieakcentowaną dotychczas „wolność”. Glissando milczącego wyczekiwania zmieniło się w radosny okrzyk i usłyszał kajzer z arcyksięciem: „*Noch ist Polen nicht gestorben*”.

Rok później wydarzyły się jeszcze większe dziwy: z pomroków zabobonów i dubów smalonych wyszły na żer istoty, o których dawno już zapomniano. A to w lasach licha nieuchwytnie wiodły wędrowców na manowce; a to zmyry zakradały się w dormitoria pod osłoną nocy i siadały na piersiach gospodarzy; a to mamuny przebrzydłe zaczęły straszyc ciężarne kobiety i uczyć nienarodzone jeszcze dzieciątka przekleństw siarczystych; a to osmętnica po rozłogach i trzęsawiskach omoczonych smutek siała, a w której chacie stanęła, tak stała i smutniała; a to ubożęta domowe spomiędzy zmurszałych desek wyszły i do garnców kuchennych wypróżniać się poczęły tak, że w niedługim czasie ludzie woleli trawę żuć, niżli z kotła rosół pić; a to wreszcie dydki złośliwe z otchłani cienia powyższy i ludziom na złość zaczęły czynić: dydek Wróg między przyjaciółmi krew psuł; Przechera głupcom języki w ruch puszczał, że w całym parlamencie dzwony puste mędrkowały zawzięcie; Szumrak warcholstwo rozsiewał; Matołek spychał z parapetów chwiejnych samobójców; ba, krążyły słuchy, iż sam Piekielny Pan ma się pojawić na Dworcu Centralnym i sądzić lud za jego przewiny. Wszystkie te diabelskie sztuczki bładły jednak przy tym, co wydarzyło się pod soborem św. Aleksandra Newskiego. Antek Horzyca, lokalny apasz, dymał właśnie na miechach i śpiewał sobie tak:

W Saskim Ogrodzie koło fontanny,
przysiadł się frajer do jakiejś panny.
I tak z nią grucha i tak z nią grucha,
myśląc, że w końcu pannę wyrucha.

Przed gniewem popów i zgorszonych niewiast uchroniła Antka siła nieczysta, która zjawiała się pod postacią czarciego rumaka z ognistą grzywą i kopytami, co to iskrami tryskały na prawo i lewo. Na tymże wierzchowcu piekielnym siedział sam Kościej Nieśmiertelny, tytan kresowy, co grozę budził od Kamczatki po chutory ukraińskie i mazo- wieckie bieda-dwory, dziad diabelski z brodą zaplutą i splekaną czaszką. Pop przeżegnał się i pobiegł po kropidło, a ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony po masło, po chleb, po cukier i węgiel, bo wiedzieli już, że wojna idzie.

Tymczasem rząd robił wszystko, aby sprawę zatuszować. Departament IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych powołany do walki z antypaństwową działalnością sił nieczystych rozesał swych agentów wszędzie tam, gdzie odnotowano nadprzyrodzone zjawiska, się- jące zamęt w umysłach obywateli. Nie przyniosło to większego skutku. Fakt, udało się zamknąć usta kilku chochołom, które melancholijną pieśnią propagowały wśród chłopów defetyzm i patriotyczną indyferencję. Udało się aresztować Czarnego Boha Czupiradło, który straszył konie dorożkarskie do tego stopnia, że lewe kopyta myliły im się z prawymi,

a tylne z przednimi, przez co doszło do kilku groźnych wypadków na Krakowskim Przedmieściu. Udało się też utąpić Kryszałka Kusego Jasia, złośliwego upira, co absztyfikantom gusta mieszał i do starych bab przywodził. Obu zwolniono po kilku dniach. Pierwszego z braku dowodów, drugiego za poręczeniem starych bab. Przy tak przytłaczającym braku sukcesów minister Wojciechowski musiał złożyć rezygnację. Premier Skulski jednak przywrócił go na stanowisko, bo, jak raczył zauważyć, „zmiany kadrowe nie wchodzi w grę, kiedy czasy są złe”. Na co jego polityczni wrogowie odpowiedzieli: „dlatego zawsze na złe czasy mamy złe kadry”.

Niedługo potem w całym kraju rozwrzeszczał się dźwięk rozpacz z kościelnych wież. Na Anioł Pański rozbiły się dzwony. Binnn-bonnn, niech będzie Maria pozdrowionnnna, bin-bon, niech będzie Chrystus pozdrowionnnn... bez niego zgonnnn, bez niego skonnnn. Z kazalnicy szaleńcze homilie spadły na ród ludzki, co tłoczył się w nawach, choć potajemnie wróżom płacił, by ode złego się chronić podwójnie: po chrześcijańsku i po słowiańsku. A rad cygańskich lud zasięgał, by dnia następnego niebezpieczeństw odkryć tajemnicę. Tymczasem rząd, choć bał się przyznać, sięgnął po profesjonalnych żerców i wołchwów: ci pierwsi żertwy składać poczęli, by ojczyznę przodków podwójnie chronić: po słowiańsku i po chrześcijańsku²; ci drudzy zaś zamknęli się w Cytadeli i tam, w najgłębszych bunkrach, wchodzili ze sobą w dysputy nad znaczeniem zatważających omenów. Po wielu dniach i spożytych trunkach halucynogennych wołchwowie doszli do wniosku, wysnutego przez lud dużo wcześniej i z dużo mniejszym wysiłkiem: „wojna idzie”.

Milkły krwawe uwertury w Rosji. Deniken rzeził resztką sił śmiertelną fugę, a Lenin coraz częściej zerkał w kierunku płonących Niemiec, gdzie wśród okrzyków niezadowolenia okrzepł strach i buntownicza pieśń odważnie na ustach kwitła:

Wacht auf, Verdammte dieser Erde,
die stets man noch zum Hungern zwingt!

Przy tej buńczucznej pieśni, której zza Kresów wtórowało gromkie:

Вставай, проклятем заклеймённый
Весь мир голодных и рабов.

A polski Mazurek milkł zagłuszony z obu stron rewolucyjnym marszem zniszczenia i tworzenia. Tymczasem ćwierćnutki ćwierćsojuszników Rzeczypospolitej brzmiały jak treliki ślepych koliberków. Lloyd w takt walca angielskiego powtarzał refren: „Not a man, not a man, not a man”. Z Francji tymczasem dobiegał drżący fałsecik jak śpiew neurotycznej papugi ciągnanej za ogon: „Pas d’hommes, pas d’hommes, pas d’hommes!”. Przy tym akompaniamencie truchlała do rytmu Polska cała w nabożnym wyczekiwaniu i słusznym przerażeniu, czekając na pierwszy wystrzał, zwiastujący wielką fugę śmierci. Wiatr ze wschodu niósł dławiący zapach siarki piekielnej, bo nie stało już w Polsce nikogo, kto by wątpił, że moce diabelskie rozsiadły się na zakrwawionym tronie Kremła.

Wszystko było gotowe i nieodwracalne. Muzycy przebierali palcami w oczekiwaniu na pierwszy akord. W sztabie generalnym w Równem trzepotały nieruchome chorągiewki

² Bo premier nie zapomniał, aby i na msze w kościołach ze skarbu państwa sowitą kwotę przeznaczyć.

na mapie Polski. Dowódcy kreślili plany. Co jakiś czas nerwowo spoglądali na zegarki, jedynie posępny Marszałek z powagą skubał wąsa. Atrament nie wysechł jeszcze na traktatach z Ukraińską Republiką Ludową, ale trzeba było działać. Czas nie wie, co to postój. Oczekiwano już tylko na właściwą chwilę, na wystrzał pistoletu, na którego dźwięk czas popłynie szaleńczym kraulem. Czarny, wywoskowany ford Marszałka zajechał. Szofer otworzył drzwi i z samochodu wykaraskała się Skleroza. Była to kobieta słusznej postawy, o grubej skórze, na której malowała się cała geografia fioletowych żył. Twarz miała rozlaną i pofatdowaną jak Chiny, oczy głębokie jak Rów Mariański, a spojrzenie Meduzy. Ze zrenic spozierała okropna pustka. Każdego, kto w nią spojrzał, zdejmowała trwoga, bo widział na jej zatławionej powierzchni swoje zniekształcone odbicie i zmieniał się w kamień lity. Dlatego też szofer spuścił głowę i utkwiał wzrok w jej owiniętych w onuce stopach o ruchach drżących ze starości, ale pewnych, przesiąkniętych jakąś mocą niepojętą; a generałowie, którzy wyszli jej na spotkanie, założyli przyciemniane binokle.

Odprowadzono ją ukłonami do małego pomieszczenia, które zamiast podłogi wyścielała goła ziemia i przepastny dół zionący przedziwnymi oparami. Tak intensywne zapachy wisały w powietrzu, że większość z nich była wyczuwalna jedynie przez dusze potępieńców i demony bliskiego *stratum*. Nad drzwiami widniał napis: „Poznaj samego siebie”. Nikt nie odważył się wejść razem z nią. Nikt nie chciał poznawać samego siebie. Ta wiedza tajemna dostępna jest jedynie najodważniejszym, najzuchwalszym i najwytrwalszym. Żaden z dowódców nie spełniał choćby jednego z wymogów.

Skleroza wyszła po kilku minutach otumaniona. Z ust sypały jej się liście laurowe, jej ubranie przesiąknięte było wonnościami przeróżnych, najjaskrawszych barw. Dwóch adiutantów musiało ją przytrzymać, by nie upadła na podłogę. Wszyscy zamarli.

Zapadła cisza.

Taka, którą usłyszeć można, kiedy dyrygent wznosi batutę i dokonuje ostatniego przeglądu swych muzyków.

Najgłośniejsza
z najgłośniejszych,
przenajczystsza
cisza.

Wtem! Dźwięk!

wy-wy-wydobyci się z gardła Wyroczni. Jak brzęczenie muchy:

Z-z-z-z-z-z... – heksametr?

Poś na skroniach.

Wyrocznia:

Z-z-z-z-z-z... – heksametr?

Drżenie wąsów.

Wyrocznia:

Z-z-z-z-z... – heksametr? – nie, nie heksametr.

Pytyjska odpowiedź
niewymagająca komentarza,
niewymagająca wyjaśnienia,
niepozostawiająca cienia wątpliwości.

Z-z-z-z-z... zapierdalać!

I rozpuętała się wojenna kakofonia. Choć nie tak, jak się tego spodziewano. Pierwsze dźwięki były raczej niskim staccato pojedynczych wystrzałów. Trąbki nie zagrały ani razu, za to bębny dudniły do marszu. Bo i zdawało się, że wojna polega jedynie na marszu. Od czasu do czasu tylko rozlegały się talerze szrapneli i skrzyпки karabinów, ale niewielkie grupki krasnoarmijskiej swoloczy szybko składały broń (na której lufach wygrawerowano „*Fait par le prolétariat*”). Ważka był zachwycony tymi zwycięstwami. Z lubością szorował swój karabin i stukał obcasami, kiedy tylko oddział przechodził przez jakies kresowe miasto. Raz, dwa, lewa, raz, dwa, lewa – powtarzał w kółko, nawet przez sen. Dlatego Gaspar uważał go za skończonego kretyna i miał w tym trochę racji. Otóż Ważka był kretynem. Jednym z tych idiotów, którzy gadają trzy po trzy i plotą piąte przez dziesiąte. Ale był kretynem z rozsądku. Po tym, jak zdziwił się po dorostem, postanowił zostać kretynem, żeby móc się dziwić po dziecięcemu. A cóż go tak zdumiało? Wojna, mości państwo, wojna. Kiedy brzęcząca kuleczka wielkości końskiej muchy furrnęła obok niego i zrobiła dziurkę wielkości końskiej muchy w czole jego towarzysza (bronii!), Ważka zdumiał się i powiedział: „Ojej”³. A potem zwymiotował. Kiedy inny współtowarzysz (bronii!) oberwał szrapnelem, który odjął mu rękę, Ważka zdumiał się i powiedział: „Ło cię Florek”⁴. A potem zwymiotował. Kiedy jeszcze inny współtowarzysz (bronii!) poderżnął gardło krasnoarmijcowi, zanim zorientował się, że mu głowę oberznęło, Ważka zdumiał się i powiedział: „A to ci!”⁵. A potem zwymiotował.

A przecież miała być szabelka, łupy i gloria! Gloria na niskościach! Tak mówił ojciec, który swoich synów – a miał ich trzydziestu sześciu – wyprawiał w świat (choć w większości na *tamten świat*). Jedni ruszyli do miast pracować za grosze w hutach, kopalniach i fabrykach. Inny został wiejskim głupkiem, dwóch wstąpiło do zakonów, trzech zostało księżmi, czterech utopiło się w studni, dwóm w tym dopomóżono, jeden zaczął buchać łakomce z doliny na Nowym Świecie, inny został hołociarzem, kolejny wstąpił do gangu Tasiemki na Kercelaku, trzech stworzyło szajkę, co kradła na słam, choć nie stroniła od obrabiania mieszkań tylatorów na wilegiaturze (cokolwiek by to znaczyło), inny został szopenfeldziarzem, dwóch wstąpiło do band rzezimieszków grasujących na drogach, inni jeszcze zajęli się wróżbiarstwem i rzeźbieniem świętych figurek z gówna, bo na nie rósł popyt w tak niespokojnych czasach. Z Ważką był największy problem. Żadna ze ścieżek,

³ Oczywiście, zdziwienie Ważki nie mogło się równać zdziwieniu współtowarzysza, który nagle odczuł przeciąg między uszami i który zdołał powiedzieć jedynie: „Ała”.

⁴ Oczywiście, zdziwienie Ważki nie mogło się równać zdziwieniu współtowarzysza, który nagle stracił pół kilo wagi i który zdołał powiedzieć jedynie: „Oj!”.

⁵ Oczywiście, zdziwienie Ważki nie mogło się równać zdziwieniu współtowarzysza, który nagle stracił głowę i który zdołał powiedzieć jedynie... Właściwie to nic nie zdołał powiedzieć.

jakimi poszli bracia, nie była na jego możliwości (a utopić się w studni też próbował i bez skutku). Nie potrafił nic zrobić. Ba, nie potrafił nawet nic nie robić. Słowem, ciapa, niedołęga i beżużyteczny kmieć. Materiał w sam raz na żołnierza. Marzył o bitwach wielkich i wiekopomnych. Zamiast tego dostał rzeź na matą skalę. Kiedy maszerował na Kijów, marzył o walce zaciętej i bohaterkiej. Zamiast tego dostał szturm szwoleżerów miejskim tramwajem.

Skamander, a nie Homer. Zielona Geś, a nie Sienkiewicz.

Ani śladu bohaterstwa, o którym marzył Ważka.

Doskonale. Armia nie potrzebuje bohaterów – powiedział generał Czaprak, który odznaczał się wysokim stopniem kalectwa.

J... jak to? – zapytał Gaspar, który odznaczał się wysokim stopniem tchórzostwa.

Tak to – odparł generał Czaprak przez dziurę od kuli z lewej strony krtani. – Armia nie potrzebuje bohaterów. – Przerwał na chwilę, żeby podnieść z podłogi swój palec. – Nie potrzeba nam Wojodyłowskich, Zerwikapturów, ani... przepraszam. – Przymknął metalową klapkę na czole. – Ani innych pierdół. Współczesna armia... – Odpadł mu język. – pocebuje... cholela... no, już... Hekhm. Współczesna armia potrzebuje mięsa armatniego.

Czego, przepraszam?

Przestrogo. Nie zwracajcie sobie tym głowy. To są sprawy taktyczne. W każdym razie wasze tchórzostwo ma ogromny potencjał militarny.

Kurwa mać.

W czasie długich marszów Gaspar z niezwykłą czujnością wypatrywał wroga, przed którym mógłby bezwarunkowo skapitulować. Dlatego Ważka uważał go za skończonego kretyna i miał w tym trochę racji, bo kiedy już wróg się znajdował, kiedy małe grupki radzieckich żołdatów pojawiały się na horyzoncie, po krótkiej wymianie ognia, to one bezwarunkowo kapitulowały przed Gasparem. Tak więc i Gaspar był również tym wszystkim zadziwiony.

To wieeeeeelkie to my? – zapytał Gaspar, wskazując na mapę Europy, którą wyrysował na piachu Fayga, zagorzały patriota, którego zarówno Gaspar, jak i Ważka uważali za skończonego kretyna.

Nie. To Sowiety.

Gaspar czknął nerwowo, wskazał palcem i łamiącym się głosem spytał:

A to małe tutaj obok, o?

To Polska nasza.

Aha. O ile dobrze zrozumiałem – powiedział, przecierając ręką spocone czoło Gaspar – Sowiety to ten olbrzyyyyymi kształt na piasku, pełen ludzi, którzy mają do nas problem; a Polska to ten malutki, tygi, tygi kształcik na piasku, pełen ludzi, którzy mają problem do tych tamtych?

Dokładnie tak.

Aha. – Gaspar pomyślał przez moment. – Chcę się tylko upewnić, w razie jakby coś pomieszało: to duże to Sowiety?

Tak, właśnie tak, to duże to Sowiety – pośpieszył z zapewnieniami Fayga.

Aha. – Gaspar wpatrzył się dokładnie w mapę wyrysowaną na ziemi. – I oni nas tam nie lubią w tych Sowietach?

Zgadza się.

Aha. – Po chwili namysłu Gaspar spytał – bardzo?

Jak skurwysyn!

Aha... I... I właśnie idziemy z nimi walczyć do ostatniej kropli krwi.

I właśnie idziemy z nimi walczyć do ostatniej kropli krwi.

Aha... Chciałem się tylko upewnić, w razie jakbym coś pomieszał.

Nic nie pomieszałeś, nie martw się.

Aha – zmartwił się Gaspar. Zakręciło mu się w głowie, kiedy uświadomił sobie, że w tak dużym kraju jak Sowiety musi być co najmniej tyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyye razy więcej krwi do przelania niż Polska. Gaspar, choć był kretynem, zdawał sobie sprawę, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że to właśnie jemu i jego towarzyszom (bronii!) upuszczona zostanie ostatnia kropla krwi.

Dulce et decorum est pro patria mori! – zakrzyknął Fayga.

Co takiego, panie Fayga? – zapytał Ważka.

Stodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę. Tak powiedział Horacy.

Kto taki, panie Fayga?

Horacy.

Głupie imię.

No, w każdym razie, Horacy...

To jakiś pana kolega, panie Fayga?

Tak! Z wojska – odparł Fayga.

Nie chciałem robić przykrości panu kumplowi, ale Horacy to naprawdę głupie imię.

Moglibyście się uciszyć?! – wtrącił Gaspar, który przez lornetkę wypatrywał wroga. – Przez te krzyki nie usłyszymy wroga. Czy nie można w spokoju prowadzić wojny?!

Zapadła cisza. Fayga wyraźnie rozeźlony skrzyżował ręce i wydął usta. Co i rusz zbierał się do tego, aby coś powiedzieć. Tymczasem Ważka myślał o czymś intensywnie.

Proszę mu powiedzieć – przerwał milczenie Ważka – temu pańskiemu, że ma głupie imię.

Na pewno przekażę.

Ja myślę, że jego rodzice musieli mieć pusto w głowie, ot co, że mieli pstro i... skoro to pański kolega, powinien mu pan o tym powiedzieć. Może mu to oszczędzić wiele przykrości. Nie wiem, na jakiej stopie koleżeńskiej panowie są, ale...

On nie żyje.

Ojej. Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia. W takiej sytuacji nie trzeba chyba mówić mu o tym, że ma głupie imię. Z pewnością ma wiele innych zmartwień. Przecież żyć jest już ciężko, a co dopiero nie żyć. To nie takie byle co, o nie. Ale trochę szkoda, że będzie miał takie głupie imię na nagrobku, prawda, panie Fayga? Nie da się z tym nic zrobić? Gdybym poznał go trochę wcześniej, zapewne by do tego nie doszło.

On umarł wieki temu, do cholery!

Ojej – zdziwił się Ważka, ale tak po dziecięcemu. – W takim razie na pewno nie miałbym okazji go poznać.

Nie, nie miałbyś okazji go poznać, a teraz...

Chwila! – Ważka zastanowił się przez chwilę, zmrużył oczy i spytał przenikliwie. – Skoro umarł wieki temu... to jak się poznaliście?

Na wycieczce!!!

To musiała być dłuuuuga wycieczka, oł co.

Cholernie długa...

A te słowa powiedział przed śmiercią czy po?

Przed!!!

Wiedziałem – zakrzyknął uradowany Ważka. – Ciężko by mu było cokolwiek powiedzieć po śmierci, prawda? Zwłaszcza po pogrzebie. Jak się ma tonę gleby na twarzy, to ciężko coś powiedzieć.

Możesz się zamknąć?! Przez ciebie nie usłyszę Sowietów, którym będę mógł się podać! – wrzasnął Gaspar.

Fayga uznał zarówno Ważkę jak i Gaspara za skończonych kretynów. I miał w tym trochę racji.

Tymczasem wojna nabrała rozpędu. Najpierw powoli, jak żółw ociężale, a potem zadudniły kopyta i ruszyła maszyna.

Bo to było tak:

Najpierw przetrzepało wojsko polskie grubą skórę krasnoarmijców. I wiele było radości w Polsce całej!

A potem wkroczyło wojsko polskie do Kijowa. I wiele było radości w Polsce całej!

A potem Budionny ze swoimi Kozakami rozpędził wojsko polskie na południu. I wiele radości w całej Sowdepilii.

A potem Gaj Dymitrowicz Gaj ze swoimi jeźdźcami Kawkoru rozpędził wojsko polskie na północy. I wiele było radości w całej Sowdepilii...

Wojna zawsze przynosi wiele radości obu stronom konfliktu. Oddział Gaspara, Faygi i Ważki ruszył do bohaterskiego odwrotu. W sercach kołatało im tylko jedno przerażające słowo: „Gaj-chan”. Sześćdziesiąt cztery tysiące kopyt, szesnaście tysięcy szabel i tyle samo wykrzywionych gęb kozackich krzyczących: „Hijaa!”. Szesnaście tysięcy przerażonych ogierów buchających ogniem, które pod uderzeniami płazów tratowały wysokie stepowe trawy w blasku wschodzącego słońca. A na czele kawalkady Wielki Mongoł, Śmierć ze Wschodu, Jeździec Apokalipsy, dziad tatarski, diabeł ormiański, sam mroczny Gaj Dymitrowicz Gaj. Oto i obraz jego Złotej Ordy, która najechała granice Rzeczypospolitej. Równie wielki postrach budził na północy czerwony bóg wojny, radziecki Ares, mroźny wojownik o orlej twarzy i sercu z kamienia, Siemion Budionny i jego Konarmia. Makabryczna pieśń wędrowała z wioski do wioski, z ust do ust, z serca do serca:

Tupotaj, tuputup, tupotach!

Na żołnierzy pada strach.

To Konarmia i jej chan
Pę, pę, pędzi już ku nam!
Fi, faj, fo fum
Pif, paf, bam, bum
Dzwonią dzwonny
To Budionny, to Budionny!
Na żołnierzy pada strach.
Tupotaj, tuputup, tupotach!

On i jego armia siłą rozpędu tratowali wszystko na swojej drodze, dążąc w jedno magiczne miejsce: „na Warszawę!”. Tramtatatam-tam-tram-tatatam! Zagrały łomoty – tatam-tam – rozbrzęczały karabiny – tatam-tam – zadźwięczały kopyta – rozkrzyczały się buciory – rozjarzyły ogniste jutrzenki – tatam-tam. Człowiek strzelał, a diabeł kule nosił.

A to było tak:

Tuptup, tupotaj, tupotak

Tik-tok, tikotaj, tik-tak.

3. Armia i 7. Dywizja przeszły do historii stratowane proletariackim ształem. Garnizon w Żytomierzu spłynął krwią błękitną. Szpital w Berdyczowie został napadnięty przez kozackie upiory w astrachańskich czapach. „Zdrastuj!” – rozległo się zawołanie śmierci. Sześciuset rannych Polaków nie zdążyło chwycić za broń. Siostry Czerwonego Krzyża niedługo potem dołączyły do nich i czwórkami w zaświaty szły, ale pokracznie, bo wcześniej musiały rozłożyć nogi przed rozpasaną soldateską, tańczyć w rytm stepowej muzyki!

Danse macabre!

Tańczuj, tańczuj, raz w kółeczko!

Do melodii, do melodii wygrywanej na skrzypczkach! Tańcowaty kropelki potu na czole Dzierżyńskiego! Grał smutno, ale wartko! Raz, raz! Rytm wystukiwały mu szyny, po których pędził jego pociąg! Byle do Warszawy! Byle do Warszawy! Warszawa CzeKa! Historia CzeKa! Samotny grajek

Samotność – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?

Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wystucha,

Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?

Kropelki potu tryskające z czoła! Dziśli ten dzień? Dziśli ten dzień?

Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,

Dziś poznam, czym najwyższy, czyli tylko dumny;

Dziś jest chwila przeznaczona,

Dziś najsilniej wyteżę duszy mej ramiona –

To jest chwila Samsona!

Chwila za chwilą i chwili umyka! A to było jak? A to było tik-tak: rząd Skulskiego podał się do dymisji; tik-tak: parlament pogrążył się w kłótni; w tik-takażdej większej wsi czekiści sowieży tworzyli, a w tik-takażdym lesie gałęzie ugięły się pod ciężarem wisielców; tiko-tymczasem polskie wojska wycofywały się pod naporem radzieckiej machiny wojennej. No i bach! Tratatą i Mińsk pada! No i bach! Tratatą Wilno pada! Włos się jeży, Grodno leży! Leży utan, tonie w Niemna toni! Nikt go już nie goni! Hu-hu-ha! Nasza wojna zła! Hu-hu-ha! Nad Wisetką już Gaj-chan! Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, zginiesz ty!

Czas pędzi, pędzi, pędzi, więc nie traćmy ani chwili. Oto Niemcy zacierają ręce. Górny Śląsk gotuje się do plebiscytu. Niemcy? Polska? Niemcy? Polska? Włączamy maszynę losującą... i grrrrruch-gruchnęła wiadomość o upadku Warszawy! Wylegli na ulice Niemcy z portretami Lenina, po trupach polskich, po truchłach.

Tiku-tiku-to zaskakujące, ile taki naród może przelać krwi i wciąż dychać!

I tiku-tiku-tak, Ślązacy chwycili za broń przeciw Niemcom.

I tiku-tiku-tak, Warszawiacy chwycili za broń przeciw Sowiecom.

I tiku-tiku-tak o! Zupetnie, jakby Europa do szczętu skretyniała!

A potem?

A potem była coda! Zwieńczona cudem.

Matka Boska nie zesłała z nieba. Wszyscy święci pozostali w okopach. To nie przed nimi rozpierzchni się wszyscy diabli, lecz przed Marszałkiem, który wbił się klinem między dwie nacierające armie i w jednej chwili wytrącił batutę z radzieckich rąk. Fałsz poszedł ze wszystkich instrumentów tratowanych przez kawalerię, u której boku stanęły wszystkie duchy przeszłych pokoleń. Powiadano, że sam hetman Żółkiewski z blaszaną szczęką i wierną husarią ramię w ramię z Piłsudskim walczył; że sam obożny wielki koronny Czarniecki swą butawą dzielił równo po głowach; że sam sobiepan Zamoyski tratował przerażonych dydków piekielnych; że sam książę Wiśniowiecki ze swoimi kozakami deptał czerwone sztandary. I cichły powoli wrzaski bitewne. I cichły powoli przedśmierne: „Boże wiecznyj i Cariu wsiakaho sozdanija, spodobiwyj mia daże w czas siej dospieti, prosti mi hrech...”, bo w obliczu śmierci każdy wolął zwierzyć się Bogu niż Leninowi. I odeszli precz aniołowie śmierci: niepowstrzymany Uzjel, wstrząsający posadami ziemi Agares, król ognia Adar-malik i całe zastępy innych makabrycznych muzyków. Ucichła kakofonia śmierci. A publiczność chwilę jeszcze nie mogła dojść do siebie. Dopiero kiedy naczelny dyrygent państwa odwrócił się na pięcie i uklonił, rozległy się brawa, szloch i ekstazy. I było wiele radości w Polsce całej! I zdziwienia było wiele, boć zdały się marą tylko i dziełem szaleństwa lata minione. Aczkolwiek prawdziwe szaleństwo i prawdziwe zdziwienie miało dopiero nadejść. Ale ciii, nie uprzedzajmy historii. Niech ta wpierw dobrnie do końca.

Wszystko to, wiele, wiele lat później i wiele, wiele wiorst od tego miejsca, głosem melancholijnego aoidy opowiedział pod metrem Prorok Dnia Wczorajszego, a ja, jego wierny apostoł, piórem gęsim na skórze wyprawionej spisałem i przyszłym pokoleniom w spadku zostawiłem.

Nie uważajcie mnie za skończonego kretyna, bo zmyśliłem ja to wszystko w dobrej wierze.

KONIEC